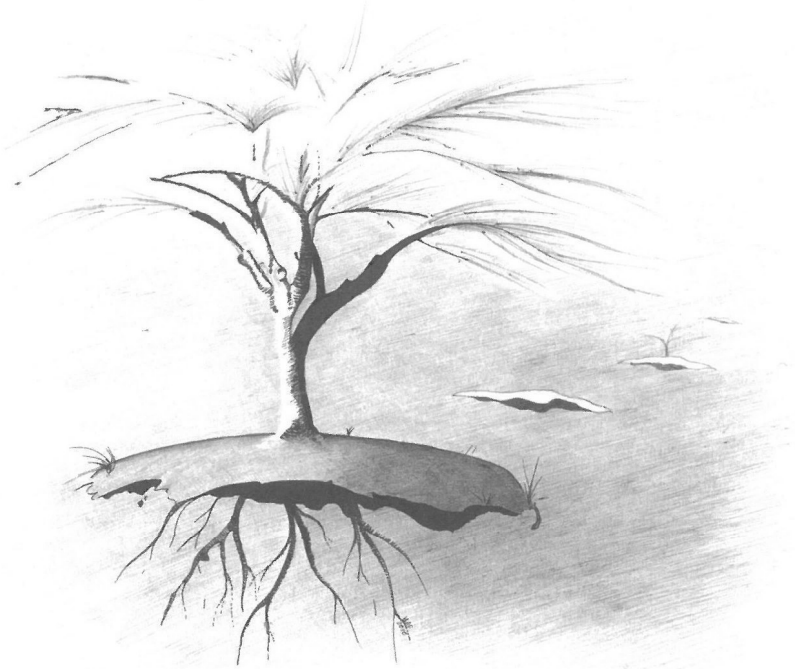


KRYSTYNA SŁAWIŃSKA

**ZWIJAM
W SIEBIE DROGĘ**



Krystyna Sławińska

Zwijam w siebie drogę

Redakcja i korekta
Krystyna Sławińska

Grafiki, rysunki
Hanna Aniela Frelek

Copyright © by Krystyna Sławińska (tekst), 2010
Hanna Aniela Frelek (grafika), 2010

ISBN 978-83-61719-93-9

Wydawnictwo
AD REM Jelenia Góra
tel. 75 75 222 15
www.adrem.jgora.pl

w przystani źrenic
łódź cumuje bezpieczna
beczki soli mniej

*Henrykowi
i wszystkim Przyjaciółom,
dzięki którym moje życie
wciąż nabiera smaku*

Zwijam w siebie drogę

zwijam w siebie drogę
jak nić Ariadny

z nanizanymi nań
zdarzeniami, twarzami
paciorkami minionego

upycham ją w sobie ciasno
cofam się słyszę szum wód
płodowych i miarowe, spokojne
bicie matczyne serca

Ekshumacja

otwieram stary album
z rodzinnymi zdjęciami

przez grubą warstwę minionych dni
dokopuję się do twarzy, oczu, ust

rozłożyły się wybladły
pożółkły źle utrwalone

pozostały szczątki uczuć
kosteczki twardych zasad

tombakowe skarby
gładka cera kształtne rysy
rozsypany się w popiół

sitem pamięci przesiewam
i to co pozostało skrzętnie
chowam na dnie serca

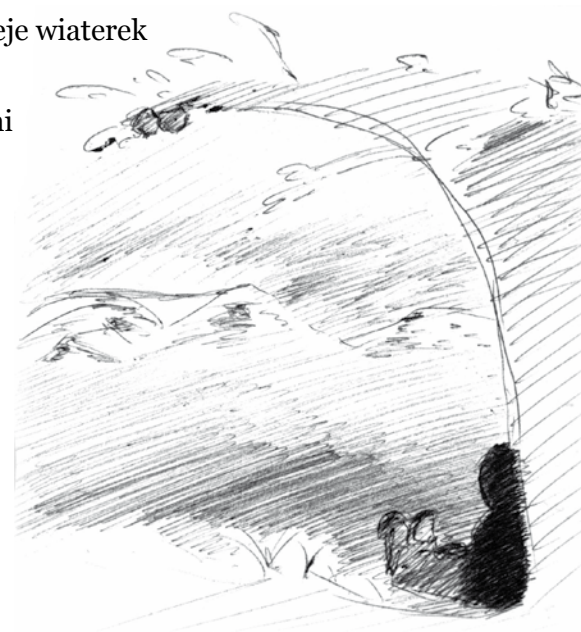
Utracony eden

leżeć z pełnym brzuchem
na rozgrzanej bujnej trawie
pod starą jabłonką

nanizywać pestki na nitkę
aby powstał najpiękniejszy
na świecie naszyjnik

bać się, że za chwilę
mama zawoła na obiad

czekać, aż powieje wiaterek
i strąci dojrzałe
grające pestkami
jabłuszko



Wróżba

zjadłam krówkę
na odwrocie papierka
przeczytałam słowa
„dziś będzie twój dzień”

pobiegłam do kuchni
po kolejny cukierek
„masz zielone światełko...”
brzmiała kolejna wróżba

wzięłam kartkę
i napisałam wiersz
wystarczy tych krówek
nie warto igrać z losem

Kocie łby

moja ulica brukowana
kocimi łbami – szaro, równo
turkocą koła furmanki
z rzadka samochód mknie

chodniczek z drobnej kosteczki
zdobiony granitu ścięciem
wiedzie w krainę dzieciństwa
w tajemny cudów świat

tarasy w „małpim gaju”
marmurowe schody donikąd
egzotyczne, tak bliskie drzewa
pociągów nagły świst

kołaczą w głowie wspomnienia
żal czasu, którego już nie ma
śpią kocie łby pod asfaltem
kamiennym twardym snem

Wędrówka

golgoty moje
swojskie eweresty
ścieżką w górę
na Szrenicę
na Śnieżkę
na Łabski Szczyt
dławiący brak powietrza
w skurczonych płucach
mieszczucha
serce w szaleńczym rytmie
odmierzające czas
góry niebotyczne
plecaka krzyż przytłacza
wyrzucam z niego
niepotrzebne brzemię
codziennych trosk
i już tuż tuż
na wyciągnięcie ramion
nadkarkonoskie
moje niebo

Camera obscura

pamiętasz, jak w galerii figur woskowych
robiłeś kiedyś zdjęcia starym aparatem
bez kliszy – otworzyłeś aparat – a tu pusto
mam wciąż te zdjęcia w głowie
i to z Jean-Paulem Belmondo,
zaskakująco niskim, drobnym brzydalem
i to z Freddie Mercury, z ręką w górze
jak rzeźba Hanki na naszym regale
noszę w sobie jeszcze inne zdjęcia
te robiłam na górskich ścieżkach bez aparatu:
ostatni promienny uśmiech oczu Karela
dół twarzy zdeformował mu rak
bose stopy ojca Natalki
na tle usianej stokrotkami trawy
machający holenderską flagą
rudzielec, wracający z maratonu
potrącam te obrazy pamięcią
jak buddyjskie modlitewne młynki
i wtedy ci co odeszli znów żyją
rozprostowują obolałe nogi
uśmiechają się, machają wesoło
i wciąż wędrują we mnie

Jak rodzą się anioły

Kiedy anioły odchodzą do nieba
powstaje wielka pustka
czarna dziura wysysająca radość

Tam w niebie robi się zbyt ciężko
od dobroci i za gęsto od miłości
powstaje wielki bąbel
ze wszystkim co zabrał ze sobą anioł

Bąbel opada na ziemię
i eksploduje wypełniając zawartością
serca wszystkich
których los zetknął z aniołem

Ludzie podnoszą głowy i wśród gwiazd
szukają znajomych oczu
po chwili ich oczy świecą jak gwiazdy
światłem odbitym od oczu anioła

Serca wypełnione okruchami
dobroci i miłości stają się lekkie jak puch
który pojawia się pewnego ranka
gdzieś w okolicy łopatek

Tak rodzą się nowe anioły...



Lato dojrzewa

lato dojrzewa...

już nie nosi kusych bluzeczek
nie biega w szortach za motylami

przestaje dyszeć
gorącymi oddechami kochanków

zapada w coraz dłuższe noce
z porankami zdobionymi rosą

zasnuwa pajęczyną babiego lata
wyznania plażowych miłości

bezrobotne bociany odsyła do Afryki
po wiosenne dzieci

napęlnia słoje barwnymi
konfiturami wspomnień na zimę

szarugami deszczu płacze
nad zoranymi zmarszczkami
bruzd polami

wichrami otrzepuje
z naftaliny grube szale

kluczem żurawi
zamyka wakacyjny horyzont

...dojrzewa do jesieni

Banalny jesienny wiersz

banalny jesienny wiersz
barwami liści się zaczyna

wabi bezwstydnym cynobrem
jarzębinowych koralii

balansuje ryzykownie
na pajęczej nici babiego lata

banalny jesienny wiersz
ma w oczach lęk
przed trupim chłodem zimy

żebraczym kosturem stuka
w zapłakane deszczem serca
banalny jesienny wiersz

Tryptyk czerwcowy

I

dotknij mnie leciutko
tylko raz
a rozpułnę się
jak śniegi na wiosnę
i zapachnę jaśminem

II

noc weszła we mnie
głęboko, aż po same trzewia
wypełniła lepkiem zapachem jaśminu

kiedy wymykała się chyłkiem
pierwszy promień słońca
lizał bezwstydnie nagą pierś

kielkowało ziarno

III

teraz możesz mnie namalować
na jaśminowo-białej chmurce
spiesz się
za chwilę zniknę
we mgle jesieni

uśmiech domaluj
pędzłem Leonarda
podpisz szybko
moja naga

już śpij

* * *

przeskakuję między kroplami
mijających chwil
zbieram dobre wróżby
chłód magicznej kropli w jaskini Raj
śliski dotyk piersi Juli w Weronie
wpisuję marzenia do książki
życzeń Matki Boskiej Loretańskiej
szczęście zasuszam czterolistne
za pajęczyną zmarszczek
chowam na czarną godzinę



Niebo

Znudzona blondyna w kolekturze
marzenia w kumulacji na chybił trafił
rozdaje leniwie Na ławkach przy fontannie
emeryci liczą dni do wizyty listonosza
Spomiędzy brukowych kostek gołębie
sprzątają okruchy wczorajszej bułki
Miejska kamera jak mantrę raz po raz
omiata napis na ścianie restauracji
„tu było siódme niebo...”
Blednące oczy w niebo błękitne
nad ratuszową wieżą –
coraz bliższe – ostatnie.

* * *

monidła, mamidła
serialowe miłości
szklane fatamorgany

niknę jak sucha oaza
co dzień bardziej ostatnia
niepotrzebna, porzucana
zawiewana piaskiem zapomnienia

a źródło takie realne
co dzień robię w jego stronę krok
niespieszny
jeszcze
przedostatni

Ptak

Ten ptak, który we mnie śpiewa
Darmo pręży skrzydła
Chciałby wzlecieć ponad drzewa
Przyziemność mu zbrzydła,

Chciałby wolny poszybować
Ponad góry, pola,
Lecz to chyba nielot jakiś
Inna jego rola.

Chce jak sokół gnać wędrowny,
Bez granic – odważny.
Grzebie w miejscu jak niewolny
Drób, kurnika strażnik.

Zgarnia ziarno, zwija skrzydło,
Karmi swe pisklaki,
Oszukuje, że nie zbrzydło
mu istnienie takie.

Ale kiedyś wzleci wreszcie
W ten lot – hen – przed siebie,
Za obłoki – ptak – uwierzcie,
I zostanie... w niebie.

Ptaku we mnie
trwaj niezmiennie
Czekaj lotu
zawsze gotów.

Ptaku śpiewaj!
Wzleć do nieba
W swój jedyny lot.



Moje myśli

Moje myśli
barwne motyle
faramuski, bzdurki
limeryki, fraszki
tęcza

Moje myśli
narowiste konie
eskapady, galopady
sonety, erotyki
wiatr

Moje myśli
bazaltowe kamyki
gorycze, żale
haiku, treny
pył

Poezja to

Poezja to
szum wiatru
w nieskoszonej trawie
wiosną

Poezja to
twój oddech
na moim policzku
nocą

Poezja to
feria jesiennych barw
na stokach Karkonoszy

Poezja to
gorzkie ły
bezsilności
gdy odchodzi ktoś

Poezja to
zapach rozgwieżdżonej nocy
czytającej przez ramię
moje wiersze

Poezja to
młoda dziewczyna
na dnie mojej starej duszy
to głęboko ukryty
okruch wolności.

Sulikowska tkanina

Silna osnowa, surowy len
i miękka wełna jak noc, jak sen.

I. Zamiana

kamień – chleb
kamień – chleb
kamienie gryźć

życie – chleb
życie – chleb
jedenaście bochnów

za górę – chleb
za górę – chleb
przez ramię kamień

II. Mezolan

Silna osnowa, surowy len
i miękka wełna jak noc, jak sen.

Ognistej Góry kamienny łom,
Czerwona Woda, przy domu dom.

Ostry Narożnik – szachulca czar:
czerń bali, biel ścian, w podcieniach gwar.
Twarde zasady, przy drodze bez,
z Kresów wspomnienia zza mgły, zza łąz.

Silna osnowa, surowy len
i miękka wełna jak sen, jak sen.

III. Droga

nie ma murów
nie ma bram
nie ma fos

są drogi do
są drogi z
są drogi przez

przyjazdy
wyjazdy
przejazdy

bazalt rozsmarowany
masłem asfaltu
po drogach

za kamień – chleb

silna osnowa, surowy len
i miękka wełna – sen...

Cisza

Kościółek w Tarnowie Pałuckim

modrzewiowe belki
nasiąkłe modłami
stwardniałe od win
wybladłe od próśb
aktami strzelistymi
ornamentów zdobione
trwają od stuleci

szum pogańskich puszczy
przecięty mnisim toporem
zaklęty w magiczną ciszę

święty Mikołaj
oczy szeroko otworzył
zdumiony jej brzmieniem

„Silesia Sonans”

na wskroś
przez
przez
na czubeczkach palców
po krawędzi pięciolinii
skrawkami wrażeń
o wiolinowy klucz
 organy nadeły piszczałki
 przymknęły oczy
 oddały się miłośnic
 rękom i stopom
fruną z nieba anioły
szelest skrzydeł
w muzykę wplątany
 kościół wieżę ku niebu
 do taktu rozbijał
 zadźwięczały dzwony glorią
korowodem korowodem
kamienne suknie kobiet
rycerzy granitowe zbroje
niewidzące oczy
wpatrzone w przeszłość
zasłuchane zaczarowane
korowodem korowodem

uderzcie w kotły
wysoko niech płynie muzyka
w rytm rozkołysze świętych
korowodem korowodem
zatańczą wokół tronu

pucułowate putta
zanoszą się płaczem
poślacane łzy wzlatują
gwiezdny pyłem
lacrimosa
lacrimosa
jęczą z żalu
ostatnie nuty

Marcowa Wielkanoc

na błękitnie widnokregu
rozsiadły się baby gór
lukrem śniegu zdobione

zmartwychwstania
strumieni czekają
zniebozstąpienia ptaków

Karkonosz bazie i żonkile
rozkłada na zielonym
obrusie pól

pyzaty księżyc
odsyła zimę
za morza

Alleluja, hosanna
dźwięczą dzwony
w dolinach

Przejście dookoła Kotliny Jeleniogórskiej

*(Danielowi i Mateuszowi
– oni już doszli)*

lawiną w górę
czołówek blaskiem
w oczy co z nieba
na wskroś do serc

pajęczą nicią
mgłą poranną
kapryśny wrzesień
plącze szlak

ten tu zwycięzcą
kto znajdzie drogę
w marszu jak oni
odnajdzie cel

Śpiewak

już myślałam, że nie zdąży
przyleciał dziś rano
zmęczony, zadyszany
strzepnął podróżny kurz
i od razu zaczął śpiewać

słuchałam zauroczona
zanim go wypatrzyłam
siedział na wierzbie nad rzeką

wiosenny szpak jutro zaśpiewa
urodzinową pieśń dla Fryderyka

Nostalgia

siedzę na szarym kamieniu
Irlandzkie Morze obmywa
Groblę Olbrzyma

na dnie wulkanu duszy
żarzy się okruch bazaltu
z Kamiennej Góry

opuszkami palców
w szarej obcej skale
odgaduję drogę

Kilka prostych definicji zamiast podręcznika

Kiedy siedzę przed domem
jem chleb ze smalcem
patrzę na ośnieżone Karkonosze
i kocham to miejsce
– to jest patriotyzm

Kiedy pracujesz ciężko
w fabryce w Anglii
w każdym pagórku widzisz
kształty Karkonoszy
– to jest nostalgia

Kiedy w restauracji sejmowej
jesz kawior czy suschi
chcesz uczyć wyborców
patriotyzmu z podręcznika
– to jest ...minister oświaty

Maćku w Londynie
Haniu w Reykjavíku
Mariuszu w Sydney
bez podręcznika nauczycie
swoje dzieci polskiego
i pokażecie im Karkonosze
– ja wiem

Trawersując zbocze

synowi

wypuściłam cię sokole
wysoko w niebo – leć

trawersuję zbocze

w szumie wiekowych świerków
w drzeniu bukowych liści
odgaduję łopot twoich skrzydeł

oczy wbijam w trakt

przyniesiesz widok szczytów
na dnie rozszerzonych źrenic

staczam się kamieniem

kiedyś odszukasz mnie
w nurcie strumienia
u podnóża góry

trawersując zbocze

Wiersz na niedzielę

schowaliśmy starego Boga
głęboko w katakumbach dusz
nie czytamy świętych ksiąg

postawiliśmy nowe ołtarze
nowe bóstwa uśmiechają się
do nas z błękitnych ekranów

ogrodziliśmy murem domy
wynajęliśmy ochronę
głodny Chrystus nie zajrzy
do naszych śmietników

budujemy betonowe świątynie
będą ziały pustką
nie zaprowadzimy tam naszych dzieci

używanie sumienia boli
znieczulamy uczucia
alkoholem narkotykami seksem

komercja konsumpcja
i wszechmogące media
zastąpiły trójcę świętą

zapomniany anioł stróż
nie osłoni nas swoim skrzydłem
zakurzony drzemie na dnie serca

Madziu ile masz latek?

Madziu ile masz latek ?
Trzy uniesione paluszki
Całe życie w nich zakłęte

W tym pierwszym
słodkie matczyne mleko
jej ramiona jak ocean
kołyszące do snu

W tym drugim
pierwsze niepewne kroki
zabawy z tatusem
mama z wielkim brzuszkiem

W tym trzecim
ja też jestem mamą
dwóch cudownych braciszków
jestem już duża.



Pean na cześć strażaka M.

Marcie i Mariuszowi

dumny strażaku
odważny młody dzielny
gasileś wiele pożarów
wiele istnień płomieniom wydarłeś

powiedz mi dziś
jak ugasisz pożar
który jak szalony piroman
zaproszyłeś w jej sercu

popatrz płonie cała
choć drży jak osikowy liść
dotknij jej skóry ostrożnie
czujesz ogień

weź ją na ręce
ponieś przez majową łąkę
spróbuj ugasić pożogę
rosą z konwalii zerwanych o świcie

zostaw na dnie jej serca
żarzący się węgielek czułości
by znów zarzewiem ognia
zmysłów się stał

gaszenie takiego pożaru
jest przecież takie miłe...

Bibliotekarka

Krystynie Susabowskiej

włosy to skutek muśnięcia anioła
zastał ją pogrążoną w lekturze
leciutko pogładził skrzydłem
aż posrebrały

dusza baciarska
rogata uparta szalona

serce pojemne
trochę w nim wspomnień
Lwów, Chojnik, szum górskich strumieni
spory kąt dla rodziny i tego co powszedni
najwięcej miejsca dla przyjaciół
którym po ludzku pomoc trzeba

wszędzie książki
szeleszczące pachnące drukarską farbą
podsuwające odpowiedzi
na niezadane pytania

zakładki z zaszuszonych dziewięciłów
szyszki upojnie pachnące

i dłonie pełne miłości

Zagubieni w sieci

zatopieni w klatce
czterech ścian pustki
płyniemy po wirtualnym bezkresie

cisza niedoczekania
sączy się z mrużenia komputera

źdźbła samotności
wyrastające z klawiatury
związujemy w snopy
blogów
wierszy
wyznań

do mnie
do mnie
nawołujemy jak handlarz starzyzną
poznaj moje myśli
przeczytaj
ocień
ja tu jestem
żyję
cierpię realnym bólem

macki cudzych blogów
oblepiają zachłannie nasze oczy
obce wiersze niemym echem
odbijają nasze myśli

uśmiechamy się do siebie
z chłodnego ekranu

tylko czemu
twoje włosy nie pachną jaśminem

Rzeźbię

rzeźbię
moją drugą połowę

tępym nożem
własnych słabości
prycinam na swój obraz i podobieństwo

heblem zachcianek
wygładzam dłoń do własnej dłoni

piłnikiem wyrzutów
zdzieram uśmiech, gaszę oko

szpachlą pychy
wyrównuję tajemne zakamarki duszy

wbijam dłuto
zazdrości w serce

mały, pokurczony strzęp
bez czucia wyrzucam na wysypisko

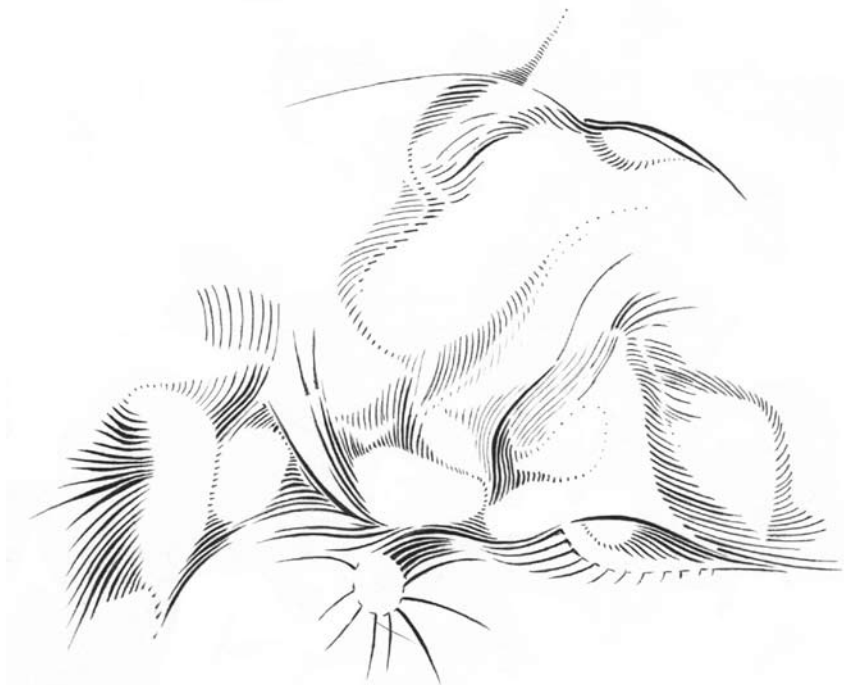
nie pasuje

nocą krwawi puste miejsce

rano poszukam materiału
zacznę jeszcze raz

Rachunek

wierzę w rachunek
nieprawdopodobieństwa
choć wiem
że jeden dodać jeden
jest działaniem niewykonalnym
w zbiorze naszych dwu
niezespólnych
serc



„Kopciuszek 2” – szkic scenariusza

Ślub Kopciuszka z pięknym królewiczem
reminiscencje z poprzedniego odcinka
bal na sto par, weselisko trwa kilka dni.

Gabinet nadwornego prawnika
Kopciuszek i księżę w obecności króla
podpisują intercyzę.

Król ojciec kupuje młodej parze
okazały zamek otoczony wysokim murem,
z ochroniarzami i basenem zamiast fosy.

Księżę bawi się bez końca
w wojsko , w Indian, w eurobiznes,
znika z zamczyska na długie tygodnie.

Kopciuszek przebiera
gorzki mak samotnych chwil
i twardy groch rozczarowań.

Szafa pełna pięknych sukien
wyczarowanych przez dobrą wróżkę
bezszytecznie wyczekujących na bal.

Zbliżenie na tkwiące w kącie
przeklęte nie raz
balowe pantofelki.

Speleolog

spenetrowałeś ją
jaskinię w mroku
zagubioną
wilgotną śliską
pełną ciebie

spenetrowałeś ją
jaskinię innym
nieodkrytą
przedświatła piekła
pełen skarbów
bliski niebu

Tykwa

pusta jestem jak tykwa
wydrążona jak dynia
wyskrobana

nie dotykaj mnie!

myśli kołaczą natrętnie
jak groch w grzechotce
rzuconej w kąt

nie dotykaj !

ty tylko przytul
mocno, najmocniej
aż pęknę

i nie odrzucaj
dziurawej tykwy
to łyzy



Gra

nożyce, papier, kamień
zagraj ze mną kochanie
to przecież proste tak

nożyce – kamień przegrałaś
w kamień serce się zmienia
nie boli ostrza raz

papier – nożyce wygrałem
z sądu pozew tnę w strzępy
nie boję świstka się

kamień – papier porażka
zakurzony list czytam
łzy roni twardy głaz

nożyce, papier, kamień
gra skończona policzę
kto wygrał ty czy ja

Kamień

od kiedy zaczęliśmy się od siebie odsuwać
niektóre części mojego ciała na powrót ożyły
szyja zaczęła się wydłużać, wygładzać
punkt za uchem, nie całowany długie lata
na nowo zaczął pulsować i wydzielać ciepło

podbrzusze pokryło się meszkiem
nikłych włosków, jeżących się pod bielizną
tęskniących dotyku głodnych ust
nadgarstki zapachniały perfumami
których zapominałeś mi podarować

obcasy jęły wystukiwać rytm flamenco
nawet na miękkiej trawie
biodra falować przy każdym kroku
zagarniając spojrzenia mężczyzn
błyszczące fleszami pożądania

oddycham już z ulgą, głęboko
czystym powietrzem wolności
miłość którą w bazaltowy
szary kamień przemieniłeś
cisnęłam przez ramię

Tren

w osieroconym domu
ściany chodzą na palcach

perlisty śmiech
owinięty skrzętnie
watą wspomnień
tkwi kneblem w krtani

lustra stęsknione odbicia
zaszły mgłą łez

ropiejąca rana nieobecności
cuchnie alkoholem

żyły podcięte pustką
broczą czarną rozpaczą

pod łóżkiem sypiam
jak pies
węsząc zapachu
naszej ostatniej nocy



Ástriður Tómasdóttir, muza i natchnienie H.A.F.

Kokon

wycofuję się
jak ślimak pogrążam się w skorupie
zalepiam szczelnie okna żaluzjami
wytlumiam drzwi przed śmiechem dzieci

pogrążam się w lekturze
studiuję mądrych filozofów
czytam biblię i nostradamusa
różewicza lub sonety szekspira

nocą budzę się zrana rozpaczą
niczym ślepiec dłońmi szukam
wspomnienia twojej twarzy

wyję dziko z dna samotności
nikt nie odpowie
kokon doskonale tłumi krzyk

Na przekór jesieni

Lato to już przeszłość, straszy puste rżysko
Wklejam wspomnień bukiet dziś na naszą klasę
Nostalgia ogarnia, czy za mną już wszystko?
Wciąż jeszcze nie mogę pogodzić się z czasem.

Całe szczęście obok bije drugie serce
Krzątasz się po domu, brzęczą filiżanki
Gdy kawy aromat czule nozdrza łechce
Nie straszne wieczory, nie trudne poranki.

Dzieci nam zza morza przyślą parę maili
Wnuczek po angielsku na facebook piosenkę
Ciepło twego ciała żar duszy rozpali
Chodźmy razem w jesień, ujmij mnie za rękę.

Omotani szczelnie grubym, ciepłym pledem
Zasłonimy okna, odgonimy szarość
Obejrzymy razem i mecz, i seriale
Wciąż czule objęci przechytrzymy starość.

Sensacja na hydeparku

*Zobacz to nasze miasto –
Ile oczu przygasło.
A w sercach tyle żaru,
Nie bójmy się pożaru!*

Lubań 24 –
Sensacja na hydeparku:
ZUZA z widelcem w uszach!
Widelec z ZUZA na karku!

Spotkali się na necie
Enigmatyczna para
Widelec ze stremo muzyk
I ZUZA niedzielna tekściara.

On złapał się na słówka,
Ona ugrzęzła w bitach.
Coś w kompach zaiskrzyło,
Cóż chłop to i kobita.

Zdradzała białe wiersze
W ciemne noce dla rymów.
Szukała po omacku
metafor i synonimów.

Kradł ptakom melodie świtem
Oplatał słowa w dźwięki
I tak przez roczek cały
Wspólne tworzyli piosenki.

Gadają ludzie na mieście,
Ten i ów im zazdrości.
Pytają – I po co to wszystko?
Zwyczajnie – dla przyjemności!

Pastorałka Bogu bezdomnemu

Idzie Jezus drogą
Szuka przytuliska
Gdyby nie pił wina
Szedłby do schroniska
 Śnieg oczy zawiewa
 Z mrozu sztywne dłonie
 Za obcą franką
 Choinka już płonie
Pachnie karp i barszczyk
Brzęk sztućców już mami
Pusty talerz czeka
Za każdymi drzwiami
 Wszedłby Jezus pewnie
 Siadłby utrudzony
 Lecz któż mu otworzy
 Toż lump uświniony
Cuchnący i brudny
Może i zawszony
Wejścia do kamienic
Strzegą domofony
 Zawinał się folią
 W kącie przy śmietniku
 Tutaj zje kolację
 Odpadków bez liku

Choinka pod blokiem
Strojna w gwiazdy śniegu
Kolędą zaszumi
Bogu – bezdomnemu
 Mróz go w swych objęciach
 Ojcu zwróci w niebie
 W kim Jezus narodzi
 Się jutro dla ciebie.
Bogu – bezdomnemu
Moja pastorałka
Puste miejsce w sercu
Niech w Wigilię załka.

Korzenie

Czasem poleżeć lubię na brzuchu
Chociaż na ogół nie trwam w bezruchu
Wolę za byle mirażem gnać
Niż w jednym miejscu uparcie stać

Inni poeci w „Nurcie” w Lubaniu
Ciągłe coś mówią o przemijaniu
Ja nie umieram, no bo i jak?
Wszak w trumnie trzeba leżeć na wznak!

Zamiast jesieni wychwalać barwy
Wolę wciąż wiosny opiewać skarby
Bezwstydnie czekam na wysyp par
Co znów podsycą rozkoszy żar.

Upajam oczy kwieciami barwami
Niczym pies wonie chłonę nozdrzami
Dotykam listków, kory i traw
Skowronka słucham i żuję szczaw.

Nie chcę przemijać ani minutki
Żyję zachłannie, bo żywot krótki.
Jeśli mam ujrzeć kosy zły cień
Niech się to stanie w wiosenny dzień.

Gdy już ułożą mnie w futerale
Ziemią niech sypią niezbyt wytrwale
Bo upodobań swoich nie zmienię:
Kwiatkom chcę wachać choćby korzenie.

Tango z basztą w tle

Zobacz – nasze miasto, kamienice ciasno
Te budynki , rodzinny, z pożogi wojny
W czas spokojny odnowione, one i nie one
Pachną nowością , nową świetnością
Pod nogą świeży bruk, stuk, stuk stuk
To stuka moje serce, o każdej...
Po każdej poniewierce wracam tu, tu się zatracam
W piękniejszym wciąż mieście
A dziś z tobą, najbliższą mi osobą
Pożegnaj stary rok

Zatańczmy tango
Tango z basztą w tle
Szepcz wciąż do ucha
Jak uwielbiasz mnie

Różowy szampan
Już rozgrzewa krew
Płynmy nad brukiem
Grawitacji wbrew

Zobacz to nasze miasto, kamienice ciasno
Kramarska baszta, ponad tretim wyrasta
Ławeczki, kocie łby i my, ja i ty
Choć ludzi tłum, pod fontanną szum, szum,

Scena – gra zespół disco polo, aż zęby bołą
To cena za wieczór sylwestrowy darmowy
Już nad ratuszem race, równowagę tracę
W twoich ramionach, ja twoja żona

Zatańczmy tango
Tango z basztą w tle
Szepcz wciąż do ucha
Jak uwielbiasz mnie

Różowy szampan
Już rozgrzewa krew
Płynmy nad brukiem
Grawitacji wbrew

Izerskie zbliżenia

We mgle Wysoki Kamień
Płacę deszczu łzami
Zgubiłem gdzieś drogę
Znaleźć cię nie mogę
Choć tak bardzo chcę
Ref. Izerskie zbliżenia
Bliska niebu ziemia
Drży przy sercu serce
Jak trawa na wietrze
Izerskie zbliżenia
Bliska niebu ziemia
Strumień pieści kamień
Ja – strumień, ty – kamień

Szukamy się we mgle
Przede mną Zwalisko
Pogmatwałem wszystko
Na izerskich ścieżkach
Dziś już jesień mieszka
Czy odnajdę cię?
Ref. Izerskie zbliżenia...

Odnajdźmy się we mgle
Trzask ognia, kominek
W „Orlu” odpoczynek
W moich twoje dłonie
W oczach blask już płonie
W tobie gubię się.
Ref. Izerskie zbliżenia...

Odnalazłem cię.

Erotoman-gawędziarz

Pewien młodzieniec szukał kobiety,
Słał wciąż anonse przez internety.
Niedopieszczony –
Stronił od żony.
Tak wirtualne kochał podniety.

Bo gawędziarze tak zwykle mają,
Że zamiast działać, tylko gadają.
Swą elokwencją
Kobietę nęca,
A gdy „tak” powie, to dyla dają.

Ślą esemesy Zużki i Hanki
Hipotetyczne chłopca kochanki
Żona rzucona
Z tęsknoty kona.
Za telefony rosną rachunki.

Wreszcie ta żona, ta zaniedbana,
Zamiast usychać – zmieniła pana –
Teoretyka
na seks-praktyka
Co pieścić umie i bez gadania.

Nasz gawędziarzu – tak między nami –
Gdy chcesz bogdanekę mamieć słowami,
Radę taką dam
Wypróbuj ją sam
I gadaj w trakcie, lecz nigdy zamiast.

Matce świra – wierszyk na Dzień Matki

Matko świra syn twój swoje ma światy
Matko świra sama sobie kup kwiaty
Nie doczekasz się prezentów laurek
Syn niczego dziś do ciebie nie czuje

Myśli mącą w jego głowie przekłete
Złe demony – on zbyt sobą zajęty
Nie przytulisz się do niego serdecznie
Dotyk boli – jak matczyne twe serce

Żaden doktor nic nie zmieni na lepsze
Matko świra tul do serca powietrze
Ciemną nocą szepcz w poduszki pacierze
Może Chrystus chore myśli zabierze

Matko świra idź z bukietem ulicą
Włóż odświętny dzisiaj uśmiech na lico
I niech ludziom wszystkim woła twa mina
Że te kwiaty , piękne kwiaty – od syna



Wenus

Alabastrowy blask
ideał jest wśród nas
stała pośród sali

W marzenia wbity wzrok
próbuję zrobić krok
szata spływa ku talii

I nagle głosów szum
nadciga gapiów tłum
ach – jestem rozebrana

Brakło bogini rąk
by nagość okryć swą
profani – na kolana



Jesienna miłość

Wiele dni już przeżyłam,
Popęłiłam gaf wiele,
Choć sporo nabroiłam,
Liczę na rozgrzeszenie.

Czy przebaczysz mi Panie,
Gdy mnie wezwiesz do siebie,
Że mi tu nieustannie
Było jak w siódmym niebie?

Jeśli miłość to zbrodnia,
To przepadłam z kretesem.
Tonę – Panie – ja co dnia
W męża oczu bezkresie.

Wchodzimy w życia jesień
Trzymając się za ręce.
Prócz tych późnych uniesień
Nie trzeba mi nic więcej.

A nóż widelec...

Markowi Witaszkowi

Dziś w naszym mieście cud nad cudami,
Śpiewa „Piwnica pod Baranami”.

Dźwięczą piosenki, migają twarze-
Znane standardy w repertuarze.

Artyści świetni więc spore brawa,
A nowa „Tęcza” godna oprawa.

Wreszcie na koniec nowa piosenka,
Milknie widownia po pierwszych dźwiękach.

W powietrzu wdzięczne wibrują trele,
Cisza dokoła niczym w kościele.

Milknie artysta, nie milkną brawa,
Kwiaty na scenie zwyczajna sprawa,

Lecz już rozbrzmiewa o bis wołanie.
Płaczą panowie, mdleją w krąg panie.

„– Autor!” – zakrzyknął tłum i krytycy.
Czyj szlagier Kraka godny stolicy?

Poeta, muzyk – dobrana para –
Muzyk – „Widelec”, „Zuza” – tekściara.

Wtem budzik brzęczy „–To niesłychane!
Co ci się babo roi nad ranem!”

Ja

Czasem mam chętkę, gdy mnie coś wkurza,
Biegać po biurze w samych rajtuzach,
Albo na głowę włożyć dla draki
Wielki kapelusz w chabry i maki.

Na jednej nodze podskoczyć w górę,
W cukrową watę przemienić chmurę,
Numerki lotto wywróżyć z fusów,
Wysłać do ZUS-u skrzynkę kaktusów,

Chodzić po linie z ogromnym drągiem,
Na rolkach nago gnać za pociągiem,
Urząd skarbowy z urzędnikami
Z procy ostrzelać sweet kasztankami,

Nie dbać o kasę i reputację,
Zaprosić miasta pół na kolację –
Z wierzchu poważna księgowa, matka
W środku sowizdrzał zaś i wariatka.

Spis treści

Zwijam w siebie drogę	5
Ekshumacja	6
Utracony eden	7
Wróżba	8
Kocie łby	9
Wędrowka	10
Camera obscura	11
Jak rodzą się anioły	12
Lato dojrzewa	14
Banalny jesienny wiersz	15
Tryptyk czerwcowy	16
*** (przeskakuję między kroplami)	18
Niebo	20
*** (monidła, mamidła)	21
Ptak	22
Moje myśli	24
Poezja to	25
Sulikowska tkanina	26
Cisza	29
„Silesia Sonans”	30
Marcowa Wielkanoc	32
Przejsie dookoła Kotliny Jeleniogórskiej	33
Śpiewak	34
Nostalgia	35
Kilka prostych definicji zamiast podręcznika	36
Trawersując zbocze	37
Wiersz na niedzielę	38
Madziu ile masz latek	39

Pean na cześć strażaka M.	40
Bibliotekarka	41
Zagubieni w sieci	42
Rzeźbę	44
Rachunek	45
„Kopciuszek 2” – szkic scenariusza	46
Speleolog	47
Tykwa	48
Gra	50
Kamień	51
Tren	52
Kokon	54
Na przekór jesieni	55
Sensacja na hydeparku	56
Pastorałka Bogu bezdomnemu	58
Korzenie	60
Tango z basztą w tle	61
Izerskie zbliżenia	63
Erotoman-gawędziarz	64
Matce świra – wierszyk na Dzień Matki	65
Wenus	66
Jesienna miłość	68
A nóż widelec	69
Ja	70



Krystyna Sławińska, urodzona w marcu 1956 roku, mieszka i pracuje w Lubaniu.

Z wykształcenia inżynier informatyk, pracuje jako księgowa w biurze rachunkowym. Mężatka, matka dwóch dorosłych synów.

Wiersze traktuje jako swoją płaszczyznę wolności i spotkań z innymi ludźmi. Należy do Grupy Literackiej NURT działającej przy Miejskim Domu Kultury w Lubaniu. Wydała tomik „Wystarczy jedna myśl” (Ad-rem 2007). Jest laureatką konkursów poetyckich (Lubań, Jelenia Góra, Sulików, Ostrów Mazowiecki). Tomik zawiera wiersze, które powstały głównie w latach 2007-2010.

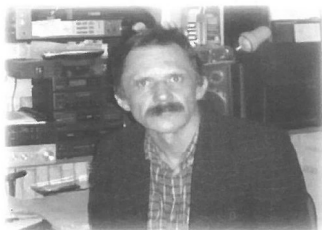
Hanna Aniela Frelek ozdobiła książkę nastrojowymi grafikami. Kilka wierszy ubrał w melodie i zrealizował w formie piosenek Marek Witaszek, zawiera je dołączona do tomiku płyta CD zatytułowana „Jesienna Miłość”. Piosenki powstały w latach 2009-2010 dzięki wirtualnym kontaktom autorów na portalu www.luban24.pl



Hanna Aniela Frelek, urodzona w kwietniu 1984 roku w Lubaniu, studentka rysunku w Myn-dlistaskola Reykjavik. Obecnie mieszka, uczy się i pracuje na Islandii.

Artystka w swoich pracach pogłębia realizm jednocześnie otaczając go abstrakcyjnymi wytworami wyobraźni, tworząc nowe wymiary, nowy pogląd na przedmioty i ludzi. Zadebiutowała wystawą prac w Gelleri Tukt w Reykjaviku w lutym 2007.

Niniejszy tomik poezji jest drugim projektem realizowanym we współpracy z Krystyną Sławińską, zawiera rysunki i szkice głównie z lat 2009-2010.



Marek Witaszek urodzony w lutym 1959 roku. Mieszka i pracuje w Lubaniu. Wykształcony muzycznie multiinstrumentalista.

Ukończył kurs realizacji dźwięku. Grał i śpiewał w zespołach muzycznych. Obecnie bawi się dźwiękiem tworząc własne kompozycje i piosenki. Zamieszcza je na portalu www.stremo.pl jako „Audio Midi Sound”.